

TEŃSKNOTA

Słoneczny dzień już się śnił domom, śpiącym w zimnych mgłach, śnił się drzewom skulonym i drżącym, śnił się morzu, bełkocącemu sennie u brzegów, i śnił się tęsknie wszystkiemu, co w odrętwiałej, zimnej cichości nocy marcowej cierpi i czeka i pragnie.

Naraz, jak zwiastun świtu, gdzieś z bardzo daleka, zasyczała syrena okrętowa; chrapliwy, pierzasty głos z trudem przedzierał się wskroś mgieł lodowatych i jakby się skarżył żałośnie, łkając i długo w pustych ulicach na śpiących jeszcze pilotów.

Aż miasto usłyszało, wciśnięte pomiędzy ocean i góry, ulice, zasypane kołtunami mgieł, zaczęły się budzić, zatopniały szyby piętér patrzyły jeszcze nieprzytomnie, ale już na dole w szarych tumanach wykwiwały światła, zaklekotały saboty na oślizgłych chodnikach, otwierały się drzwi, jakaś kłapa sklepu opadła ze szczękiem łańcuchów, mur obciążony kurzami, wyłaniał się z mgieł, a od portu rozległy się śpiewne wołania rybaczek, idących z koszami na głowach.

I niebo już bladło, jak twarz po śnie niespokojnym, mgły osuwały się z domów, niby ciężkie, przemiękłe, szare płaszcze, że już gdzieś nigdzie szyby spoglądały różnym blaskiem dnia; zamigotały żółte i zielone dachówki, pokrywając ściany nieprzemakalną łuską, i stare, odwieczne domy, wiszące wysuniętymi nad ulicą piętami, wynurzały swoje boleśnie ociążone cielska.

Od strzelistych szczytów i wież katedry, mającej nad miastem w sinych tumanach, zaśpiewała sygnaturka; niby głos dnia się rozdzwaniał. Wtedy wąską i stromą uliczką, spadającą od katedry, zaczęła schodzić jakaś wysmukła, czarna postać i jakby jeden z dźwięków płynęła przez mgły. A gdy minęła domek, przyczepiony w połowie wzgórza, wyszła za nią druga, w czerni również i w kapturze na głowie.

Drabina stromych stopni zdała się nieskończoną, miasto leżało pod stopami, z morza mgieł wzburzonych wynosiły się wieże i dachy spadziste, jak ostre skały, a z nieprzejrzanych sinych dali szły głuche, posępne gwary oceanu.

A kiedy szły obok domu, co spięty czarnymi belkami, błyszczący czerwonym fajanssem szczytów, tulił się do stóp góry, trzecia postać ukazała się za niemi.

I wszystkie trzy, jakby o sobie nie wiedząc, poszły ku morzu.

Przystań jeszcze spała, okutana we mgły, niby w siecie, ociekające wodą, fale z dzikim bełkotem gryzły kamienne ściany i spienionemi łbami waliły się o brzegi, stado czarnych i długich statków, podobnych płazom na łańcuchach, miało się niekiedy wściekle i jakby gryzło między sobą, tłukąc się zajadle bokami.

Gdy dochodziły głównego basenu, mały holownik z przeszywającym świstem zamajaczył na chwilę i przepadł w mgłach.

Z morza zaryczały znowu syreny.

A one szły wciąż jedna za drugą ku tamie, wysuniętej daleko w morze.

Przemykały się, jak cienie lękliwe, wskroś nieodgadnionych zarysów rzeczy, wskroś majaków jakichś domów, jakichś pociągów, jakichś wind, szarzejących rzędem, niby żórawie, uśpione na omglonej łące, i ginęły jedna za drugą na tamie w zielonych mgłach, ociekających deszczem.

Z niewidzialnej latarni rozkręzały się ustawicznie śmigi białych połysków i błyskawicami migotały w skłębionych tumanach.

Nie było nic prócz nieprzeniknionej topieli mgieł, ocean leżał prawie niemy; szare, nieprzejrzane pustynie drgały zdławionemi szumami, z ciężkiej szarości drążyły się ciche jęki fal konających u zagubionych wybrzeży; posępny ruch ociążałych szamotań, wszystkie huragany leżały teraz w sennym bezwładzie przerażającej ciszy, wzdychając tylko niekiedy nieprzytomnym bełkotem.

Każdy głos człowieczy marł bez echa, spojrzenia wracały oszalałe, jak ptaki oślepe, myśl wiła się w trwodze śmiertelnej przed otchłanią.

Ale one stały cicho, jak co dnia, i, wsparte o balustradę, patrzyły tęskniami, wołającymi oczami w nieodgadnioną przestrzeń.

Smagał je deszcz, oblewały złe fale, słone bryzgi wyżerały twarze i przenikały boleśnie jęki mew, odprawiających swój pacierz poranny.

Nie wiedziały o tem, czekając, jak co dnia, na statek, zawijający do portu.

Ryk syren już zahuczał gdzieś bliżej, że prawie zwisły z balustrad i przechylone czatowały gorejącymi oczyma na potwora.

Białe cielsko statku wynurzyło się z wolna w kanale: płynął, nie przestając huczeć niskim, wstrząsającym basem.

Zamarte prawie z oczekiwań, gorejącymi oczami przepatrywały pokłady statku, ale wśród mgieł i dymów ludzie mrowili się, jak cienie niepochwytne, więc biegały śpiesznie naprzód i niby psy przywarowały na przystani.

Statek z wolna i ostrożnie się podciągał; setki ludzi czerniały na pomostach, a setki na brzegu parły się gorączkowo do barjer; wychlusnęły spienione gwary, ktoś chustką powiewał na dziobie okrętu, ktoś ręce wyciągał przez burty, ktoś krzyknął jakieś imię, i krzyk przejęty radością mu odpowiedział, radość zawrzała jak burza.

Olbrzym wreszcie przystanął, związały go z ziemią liny i pomosty, i jakby z niezgłębionej gardzieli zaczęli wychodzić ludzie.

A one blade, przyczajone w sobie i jakby przywarte do miejsca, głuche na wrzawę, nieczułe i martwe na wszystko, nie przepuszczały ani jednej postaci, wysiadającej ze statku. Chwytały każdą stęsknionymi oczami, i każda przepadała w zapomnieniu, i każda budziła sroższy ból zawodu, a przewijały się nieskończonym szeregiem, były dobre i złe, piękne i smutne, starcze i dziecinne, były i białe, i żółte, i czarne, i zgoła niepodobne do wiary; twarze wszystkich stron świata, wszystkich ras i klimatów, tylko nie było tych, na które czekały...

Już statek opustoszał, skrzypiały tylko windy, zawzięcie pracujące, odchodziły zapełnione pociągi, wybrzeża rozlegały się głosami, a one jeszcze długo nie mogły uwierzyć, że i dzisiaj nie było tych, na których czekały.

A potem, kiedy ulewny deszcz zatopił mgły, kiedy zielonawy dzień marcowy wyłonił poczerńiałe miasto, kiedy ocean przebudzony jął trzepać płetwami przyływu, kiedy biała żrenica słońca błysnęła z za powiek posępnych, że już kształt każdy i rzecz każda stała się tylko smutną rzeczywistością i bólem, szły za miasto, na wzgórza nagie i puste, siadały na urwisku i, zawieszzone nad przepaściami, wtapiały się w nieskończoność, nasłuchując gędźb oceanu, przejmującego wołania przestrzeni, a za każdym statkiem, wiszącym na widnokręgu, rwały się ich dusze oczekujące, za każdym żagleń nosły się ich oczy roz tęsknione, za każdą chmurą leciały myśli wołające...

A potem szły przed Madonnę z Lourdes, co ze skał wyciągała ręce błogosławiące światu, i tam się modliły żarliwie.

I tak było codzień od wielu, wielu dni. I tak być miało jeszcze przez wiele jednak ciężkich, jednak długich i jednak tęsknych dni. I zawsze nadaremnie. Aż po wielu takich tygodniach spostrzegły się i poznały.

— Na kogo czekasz? — spytała najstarsza.

— Na męża! — szepnęła łzawo kobieta ze starego domu.

— A ty na kogo?

— Na kochanka, na przyjaciela — odrzekła smukła, kryjąc twarz.

— A ja czekam na syna — powiedziała pierwsza.

Podaly sobie dłonie i zajrzały w duszę; tęsknota je wiązała kolczastym łańcuchem już ordzewiałym od łez. Ucałowały się serdecznie jak siostry i zajrzały sobie w twarz.

Pierwsza była najstarsza, szczupła, wysoka, o twarzy jakby z białego wosku, oczy jej gorzały gromnicznym

blaskiem i mądrość cierpienia opromieniała siwą głowę.

Druga była w pełni lat, silna, różowa, o stromych piersiach i nienasyconych ustach, oczy miała pełne obietnic i dłonie, łaknące obejmowań.

Trzecią była młoda dziewczyna, smukła i świeża, jak pęd wierzbowy, w oczach miała niebo przeczyste, a pełne usta nabrzmiewały krwią żądz, niby dźwięk miedzi w poranek wiośniany, pachniała kwiatem jabłoni.

— Mój mąż zrobił majątek w Klondyke i powraca bogaty.

— Mój narzeczony powraca z Kanady, pobierzemy się i wyjedziemy daleko.

— Mój syn powraca do mnie, powraca! — szeptała słodko matka.

Już się teraz znały i kochały współczuciem tęsknoty.

Mieszkały na tej stromej uliczce, spadającej od katedry.

I już odtąd jednocześnie budził je ryk syren i razem chodziły do portu, razem na wybrzeże i razem do katedry, w cień głęboki naw i razem lały łzy błagające i szeptały modlitwy.

Ale dni przechodziły nieubłagane.

Wiosna już nadeszła i dni nizały się w różaniec blasków, woni i kwiatów, w hymn wszechmocnego słońca.

...I były jak marzenia młodzieńcze, różaną mgłą przysłonięte, pełne cichych westchnień, uśmiechów, tęsknych śpiewań, zapachów, rozbrzmiewających pęków, nagłych smutków i słodkich łez zarazem.

A one czekały.

...I były jakby utkane z płomienistych barw, ziemia lśniła szmaragdem, niebo wisiało płytą błękitu, a morze było jakby czarodziejskim kwietnikiem, każda fala tryskała purpurą, złotem i szafirem, każda struga pian wykwiatała śnieżnymi liljami, nawet mewy, ważące się nad oceanem, mieniły się srebrem i fioletem.

A one wciąż czekały.

...I były dni, jak muzyka nieopowiedziana, huragan grał na starych rozjeżonych drzewach, pluskały drzewa, grały rynny starych domów, śpiewały wieże katedry, świstały pociągi, ludzie, holujący w porcie ciężkie statki, krzyczeli smutną pieśń trudu, a ocean huczał dziki hymn potęgi, hymn śmierci i zniszczenia...

A one, jakby umarłe, na te dni czekały niestrudzenie.

— „Nadzieja“ już bardzo dawno wyszła z Rio-Janeiro!

— Od miesiąca już powinna zawinąć do portu.

— To opóźnienie mnie niepokoi.

— Wyszła i przepadła, a może... — mówili raz w porcie, ale one, dosłyszawszy, uśmiechnęły się pobłażliwie i poszły na wzgórze patrzeć w nieskończoność i czekać.

— Ludzie małego serca! — myślała o nich matka.

— Przecież to mój mąż, czekam na niego — myślała żona.

— Pobierzemy się, i już go nie puszczę na morze! — postanawiała dziewczyna.

A w mieście trwożono się coraz bardziej o los „Nadziei“. Wielu mężów, wielu synów i wielu narzeczonych miało na niej powrócić.

Już szły pytające depesze na wszystkie strony świata, już kłopotowały się gazety, i nawet giełda się trwożyła, bo statek był kosztowny, a codzień więcej kobiet klęczało zalanych łzami w mrokach naw wyniosłych, więcej mszy wychodziło i obfitszą brał jałmużnę stary żebrak pod katedrą, i dłużej w noc paliły się w oknach światła. Ale one jakby o tem nie wiedziały, zatopione w tęsknocie oczekiwania, w marzeniu o szczęściu powrotu ukochanych.

Przepędzały już ze sobą dni całe i długie wieczory.

Dla pocieszenia serc zebrały się najpierwej u żony, której dom dźwigał się u stóp góry. Odwieczne izby o poźółkłych ścianach i szerniałych belkach, ogarnęły je cichą błogością i spokojem, kominki z niebieskiego fajansu buchały ogniem, lśniły się cynową zastawą na półkach i stare, poszczerbione dzbany z Limoges bełkotały z gardzieli słodkim, szumiącym cydrem. Siedziały oczarowane bogactwem, a ona z zapalem opowiadała o jego dobroci, pokazywała podarunki od niego i pokazywała stroje, przygotowane na jego

przyjęcie; pokazywała z wilgotnym blaskiem ust i ze drżeniem piersi małżeńską ich komnatę, a potem, gdy już dzban stał pusty i na kominku tylko węgle Żarzyły się krwawo, i ciepła, pachnąca piżmem cisza przejmowała lubieżnym dreszczem, zwierzała się ze śmiechem, że sąsiad, piękny oficer, kwiaty jej przysłała i listy namiętne...

— Niech wróci mój mąż, niech jak najprędzej wróci, bo oszaleję! — wołała ze łzami, całując namiętne przyjaciółki niedoli.

A później schodziły się u matki, w starym domku, co niby gniazdo jaskółcze przyczepiono w połowie wzgórza; stare pokręcone wiązy go otaczały, i stare bluszcze go spowiły aż po granitowe płyty dachów. W niskich pokoikach pachniało jabłkami i suszonym ziołem, bretońskie stare szafy świeciły mosiężnymi ozdobami, stary zegar kaleka mamrotał godziny, jak dziad bezzębnymi ustami, a matka usadziła je w niskich fotelach, splóviała kanwą wybitych, i, otworzywszy drzwi do pokoju syna, siadła w progu i zaczęła snuć swoją serdeczną pieśń tęsknoty.

Ze ścian, z szerokich ram, patrzyła ognista twarz młodzieńcza o purpurowych ustach, o oczach lwich i potężnych, jak morze wzburzone.

— Piękniejszy, niżli ten oficer, co mi kwiaty przysłała!

— Piękniejszy, niżli nasz organista katedralny!

— To on, to mój syn! Umrę spokojnie, gdy powróci! — szeptała z dumą matka, a tamte długo patrzyły w cudną twarz młodzieńca.

Wiele długich wieczorów snuła swoją przędzę nadziei, a one patrzyły w portret pobożnej adoracji.

Aż wkońcu zaprosiła je do siebie dziewczyna. Mieszkała wysoko, u szczytu uliczki, w spleśniałym domu, jakby wtulonym w katedrę, w niskich pokoikach, skąd było widać ocean i gdzie zaglądały smoki i potwory, siedzące wiecznie na balustradach i rynnach katedry.

Głuche brzmienie organów i głosy chórów przedzierały się tutaj echami, a czasem zapachy kadzielne wonnym obłokiem zapełniały izdebki poddasza. Dziewczyna haftowała ornaty, śpiewała w chórze i pielęgnowała starą, sparaliżowaną ciotkę i kwiaty na kamiennym balkonie.

Zwierzała się im, z jakim strasznym utęsknieniem czeka. Wiedziały, co to znaczy. Że kocha go nad wszystko, wiedziały dobrze, i o tem, iż będzie z nim najszczęśliwsza w świecie! Pragnęły dla niej tego szczęścia, tylko stara ciotka się oburzała, zapewniając, że Alice robi głupstwo, czekając tyle czasu, że mogłaby zrobić świetną partję, gdyż stara się o nią sam organista katedralny.

Dziewczyna rozplakała się żałośnie, przysięgając na swoją miłość.

Wierzyły jej najszczerzej.

I tak oto wlokło się ich życie całe w tęsknocie i oczekiwaniu, że już niekiedy rozchodziły się bez słowa, nie patrzyły sobie w oczy i szły osobno każda płakać, bo trwoga się w nich rodziła.

Aż pewnego dnia przyleciała złowroga wieść.

„Nadzieja“ się rozbiła.

Przyniósł ją telegraf, i wkrótce wielki statek angielski miał przywieźć pozostałych przy życiu rozbitków.

Miasto stało się cmentarzem.

Wszyscy wylegli do portu, żalobną ciszę przerywały płacze, tysiące ludzi czekało na przystani z zapartym oddechem, tysiące serc biło w męce bolesnego oczekiwania, tysiące oczów krążyło po wzburzonym oceanie.

I one stanęły na swoim zwykłym miejscu, bledsze tylko były i bardziej niespokojne, ale najpewniejsze ze wszystkich.

Statek przybił do brzegu i zaczęli wychodzić ocaleni z rozbicia.

Ale nie było pomiędzy nimi męża!...

Nie było kochanka!...

Nie było syna!

Leżeli już dawno gdzieś na dnie oceanu.

Płacz powszechny, krzyki i łkania wstrząsnęły powietrzem.

Dziewczyna rzuciła się w morze, ale ją ocalili, a żonę zemdloną z rozpaczny musieli zanieść do domu.

Tylko matka stała spokojnie i rzekła kamiennym głosem:

— Nieprawda, mój syn żyje i powróci!

Ale odtąd już sama chodziła do portu, sama siadywała na wzgórzu, i sama przepędzała wieczory przed portretem syna.

Zapomniała o życiu, i śmierć też jakby o niej zapomniała.

Spotkała kiedyś żonę, idącą pod rękę z pięknym oficerem.

— To życie! — szeptała, uśmiechając się pobłaźliwie.

I ujrzała kiedyś w oknie domu, przytulonego do katedry, cudną twarz dziewczyny, roześmianą i szczęśliwą, a obok niej łysą czaszkę organisty, śpiewali razem.

— To życie — powtórzyła dobrotliwie.

— A tyś kto? kto?! — pytał ją stary dziad z pod katedry.

— Ja jestem tęsknotą, czekam, aż syn mój powróci!

I czekała z uporem drzew marzących o wiośnie.

Aż wylawszy wszystkie łzy przed Madonną z Lourdes, rozsypawszy wszystkie jęki w głuchych nawach świątyni i wydawszy wszystkie grosze na msze i ofiary, zaczęła się modlić do nieba, do mew, do chmur, do drzew, do kamieni.

Ale i te modlitwy były nadaremne.

Aż raz, gdy burza rozsrożyła się, morze i pioruny były oślepijącymi grotami, gdy fale spiętrzyły się z wyciem oszalałych szatanów, gdy ocean stał się już samem przerażeniem, że cały świat zdawał się rozpadać w gruzy, zesłała nad sam brzeg i, wyciągnawszy ręce, wołała błagalnie:

— Zlituj się któryś mocen nad śmiercią.

— Zlituj się, któryś sam wieczną tęsknotą.

I oto jakby przyszedł kres jej męki oczekiwania, w kłębach grzyw i w górach fal spiętrzonych, w blaskach piorunów ukazał się jakiś kształt ludzki, zielonawy był jak fala, czerwone źrenice miotły się piorunami, blade usta szeptały coś do niej; wychodził z głębin, z huraganu i na rękach wynosił białe ciało jej syna... chwiał się, jak kwiat, targany burzą, i szedł wskrós burzy ze słodkim słowem ukojenia.

Poszła naprzeciw z nadludzkim krzykiem szczęścia.

Mewy zajęczały nad nią żałośnie.

Fale były już do kolan, chwytały za piersi, ześlizgiwały się z ramion, przeskakiwały przez głowę, obejmowały za szyję, całowały ją chłodnymi ustami, zabierały w moc swoją, ale ona rwała się naprzód ku synowi.

— Czekałam na ciebie! Wiedziałam, że powrócisz! Tęskniłam!

Mewy krzyczały nad nią żałośnie.

— Ja jestem tęsknota — śpiewał ocean, zamykając się nad jej głową.